

Dzieło wyzwolenie Sun-Jat-Sena przy huku armat.

Toczące się od kilkunastu dni walki około Szanghaju, gdzie skoncentrowane zostały silne oddziały chińczyków pod komendą generała Li-Jung-Sian i Szyh - Sie - Hjan, gdzie mocarstwa europejskie ścigały znaczne siły morskie i lądowe celem obrony zagrożonych interesów swych obywateli: wszystkie te wypadki ostatnich dni, które rzuciły zarzewie wojny na bezkresy Chin - przesunęły punkt ciężkości polityki chińskiej w kierunku południa.

O przebiegu tych walk dość skąpe mamy wiadomości w radiodepeszach urzędowej agencji telegraficznej.

Wiemy tylko, że eskadra krążowników francuskich opuściła Saigon, udając się do Szanghaju, że z powodu krytycznego położenia wysadzono w Szanghaju z okrętów wojennych silne oddziały wojsk europejskich. Wreszcie późniejsze wiadomości mówią o interwencji ambasadorów St. Zjednoczonych, Anglii, Japonii i Francji w chińskim ministerstwie spraw zagranicznych.

Po raz pierwszy też w odnośnej nocy wspomnianych mocarstw wymienione zostało nazwisko gen. dr. Sun-Jat-Sena, który maszeruje na Szanghaj. To właśnie nazwisko, które odtąd coraz częściej spotykamy w komunikatach oficjalnych i radiodepeszach służby specjalnej pism zagranicznych jest główną sprężyną zbrojnego ruchu i, aby zrozumieć dokładnie jego podłoże polityczne i przyczyny przesunięcia się polityki chińskiej ku republiki Chin Południowych — należy poproszu zanalizować dotychczasową działalność Sun-Jat-Sena.

Punkt ciężkości polityki już od lat kilku przesunął się z Pekinu na południe.

Pomimo to, że w Pekinie znajduje się rząd centralny, że tam właśnie obraduje parlament, odbywają się konferencje zagranicznych dyplomatów, stamtąd wreszcie, biegną nakazy i rozporządzenia, oraz depesze biura prasowego.

Tak jak za czasów cesarzy, słynie dzisiaj Pekin, jako źródło życia duchowego, skąd rozlewa się ono na cały kraj. Pekin był punktem centralnym państwa wówczas, gdy wielkie pałacie: Mongolja, Mandżurja, Tybet, Korea i Sybir, pomimo pewnej autonomii znajdowały się w sferze bezpośrednich wpływów rządu chińskiego.

Nie zawsze jednak był on stolicą państwa, a po rewolucji r. 1911 poruszono w parlamencie sprawę przeniesienia stolicy do Nankinu, pozostał jednak się Pekin, gdzie dzisiaj rezyduje jako prezydent b. generał Tsau Kun.

Do dziś dnia jeszcze pozostał Pekin siedliskiem intryg, gdzie atryzysci mają pole do popisu.

Na tem tle właśnie uwypukla się historia Chin Południowych i działalność dr. Sun-Jat-Tsena. Wobec skąpych wiadomości o pracy tego niepośledniego człowieka, należy rzucić okiem, na jeden z ostatnich numerów londyńskiego „Times’a”, który w specjalnej korespondencji z Kantonu precyzuje działalność i jej podłoże reformatora Chin.

Na południu nie zwraca się zupełnie uwagi na posunięcia niewłaściwe i niemodne dyplomatów pekińskich.

Wprawdzie noty wystosowywane przez rząd chiński, są wystosowywane również i w imieniu południa.

Ale chińczyk z południa stoi na

najwyższym poziomie swego rozwoju — pracuje dużo i intensywnie, a mówi mało.

Mandżurja i Chiny Południowe są obecnie pod względem politycznym najciekawszym bodaj punktem Azji.

Historja Mandżurji związana jest z nazwiskiem Czang-Tso-Lina, a dzieje południa łączą się nierozdzielnie z działalnością d-ra Sun.

Czang-Tso-Lin jest wojownikiem człowiekiem teraźniejszości, który stworzył oddaną sobie gwardję, tak że ostateczny cel jego wysiłków, autonomia Mandżurji, wkrótce już osiągnięty zostanie.

Dr. Sun jest reformatorem, odrodzicielem swego narodu, gorącym patriotą z odcieniem idealizmu.

O ile Czang - Tso - Lin zrealizuje swe plany w niedalekiej przyszłości, o tyle Sun będzie żył w pamięci następnych pokoleń dopiero po swej śmierci.

Zakres pracy Czanga, Mandżurja, jest niewielki.

Praca i zadania dr. Suna są wielkie, potężne.

Pierwszy jest niepospolitym umysłem, strategiem, o dyktatorskim geście, dr. Sun natomiast propaguje swe idee bez fanatyzmu pro roka, w głębokim umiłowaniu swego kraju i szerokości mas.

Jednostka uduchowiona — idealista.

Politycy pekińscy w stosunku do poczyniń reformatorskich tego niepospolitego człowieka zajęli stanowisko wyczekujące — poproszu uważają go za swego rodzaju quantite negligible.

Chińczycy są bowiem naogół narodem trzeźwym, zwłaszcza zaś w polityce i nie można ich odurzyć zapachem czystego kwiecia lotosu. Dzisiaj nad poczynaniami d-ra Suna trzeba postawić znak zapytania.

W walce z wieloma wrogami nowych idei, którzy w wewnętrznym niedomaganiu Chin widzą świetną okazję do zaspokojenia swych własnych korzyści — może prezydent południa łatwo ulec.

Rozkład państwa może dokonać się prędzej niż wynaleziona zostanie zbawcza formuła federalistyczna.

Nowe hasła powoli zaczynają się krzewić wśród mas, które chcą przemian, ale jednocześnie nie zgadzają się na zerwanie z wiekowymi tradycjami.

Tym masom jeszcze ciemnym służy przez całe swe życie dr. Sun.

Wypędzenie dynastji, za której panowania Chiny stoczyły się na dno przepaści — było jego dziełem. Zrezygnował on wówczas z ofiarowanej mu godności prezydenta Chin. Uważał bowiem, że Juan-Szikaj posiada większe doświadczenie i sprężystość.

Dopiero, gdy Pekin poszedł za wzorem cesarzy i nie tylko nie pomyślało o odrodzeniu państwa, ale roztrwoniono skarb i zmarnowano dużo odpowiednich sytuacji politycznych — Sun przystąpił do pracy.

Wybrano go podówczas (w roku 1919) prezydentem Chin Południowych, które miały obejmować 5 prowincji. Pomimo przeszkód — wierzy on głęboko w ideał wolności, nie wolności, stwierdzonej uroczystie na papierze, ale tej, która wylania się w rozwoju narodu.

Zdaje on sobie dokładnie sprawę, że patriotyzm mas jest tylko kanwą, na której szyć należy wielkie dzieło.

Dr. Sun żyje w przyszłości swe-

JUDAICA. AMATORZY TRANSFORMACJI RELIGIJNEJ.

W związku z wiadomością o szczepie beduińskim, pragnącym przyjąć religię żydowską, wyraził się nadrabin palestyński, Kuk, że krok ten jest związany z całym szeregiem skomplikowanych problemów politycznych. W razie, gdyby nie istniały dostateczne dane historyczne, które stwierdziłyby niezbicie pochodzenia tego szczepu od żydów, natrafilibyśmy przyjele go na łono religji żydowskiej na duże trudności.

Inaczej przedstawia się sprawa maranów, którzy pochodzą niewątpliwie od żydów. Lecz i tu następują pewne trudności z punktu widzenia prawa żydowskiego. Prawo żydowskie bowiem w kwestiach małżeńskich i rozwodowych jest bardzo surowe i każde odchylenie od przepisanych ustaw jest już przestępstwem w stosunku do tradycji żydowskich. W wielu wypadkach powstaje kwestja, czy dzieci pewnych małżeństw mogą należeć do ogółu żydowskiego. Zresztą jest też możliwe, że marani chcą przyjąć religję żydowską bez głębokich przekonań.

Jak wiadomo postanowiło główne biuro nadrabinatu w Palestynie naradzić się zaimować zdecydowanego stanowiska w sprawie maranów i beduinów, aż do powrotu nadrabina Kuka z Ameryki. Również organizacje narodowe żydów palestyńskich mają wyrazić swą opinię w tych sprawach.

NADUŻYCIA POLICJI RUMUŃSKIEJ.

Donoszą z miasteczka Aroma w Transylwanji, że policja miejscowa, pod pretekstem poszukiwania komunistów, zarządziła rewizję w kilku domach żydowskich i, jakkolwiek nie podejrzano, że nie znalazła, zaarrestowała wszystkich mieszkańców tych domów, między innymi i dwie małe dziewczynki w wieku 7—8 lat, oraz 70-letnią staruszkę wraz z córką. W komisariacie policyjnym tak strasznie znęcano się nad córką w oczach matki, że ta ostatnia z rozpaczy odebrała sobie życie.

WYROK ZA PROFANACJĘ CMENTARZA ŻYDOWSKIEGO.

Kilka miesięcy temu spłodowano w miasteczku Hagen w Niemczech w sposób bestialski cmentarz żydowski, tak że zniszczono prawie wszystkie znajdujące się tam nagrobki, a na wielu grobach wystawiono awastyki. Po przeprowadzeniu śledztwa pociągnięto do odpowiedzialności sądowej cztery osoby, obwinione o udział w zbrodni znieważenia cmentarza. Obecnie sąd skazał furmana Haasa na 6, a trzech pozostałych winowajców na 2—3 lat więzienia.

PRZYKRE SNY ANTYPSE-MICKIE.

Prasa nacjonalistyczna w Niemczech rozpowszechnia wiadomość, iż w końcu lipca r. b. odbył się w Wirmberdze tajny kongres rabinów polskich, rosyjskich i niemieckich, na którym omawiano kwestję, jakie stanowisko zająć ma żydostwo wobec przygotowującego się przewrotu komunistycznego w Niemczech. Kongres — według tych dzienników — wypracował szczegółowy plan, jak zaaranżować w różnych prowincjach niemieckich instytucje, podobną do rosyjskiej „Czeka”, które mają zapobiegać mordom masowym steroryzować całą ludność chrześcijańską Niemiec.

go narodu i tkwi głęboko w jego przeszłości.

Przyszłość będzie do niego należeć, gdyż zna on dobrze przeszłość.

Ale pomiędzy przeszłością i przyszłością leży teraźniejszość, część integralna jednej i drugiej.

Któż ją przekroczy?

Przewidywania anglika z Kantonu, jak wszelkie przewidywania — nie sprawdziły się.

Gdy sytuacja dojrzała zupełnie, gdy wytworzyła się atmosfera przyjazna — dr. Sun nawiązał kontakt z sowietami i wspomagany, rozpoczął.

Doktor Sun-Jat-Sen przedzierzgał się w generała Sun-Jat-Sena, który wyzwolenie swego narodu rzucił na szalę dyplomatycznych pertraktacji, podkreślonych huraganowym ogniem dział i karabinów maszynowych.

Observer.

Historja przez okna karocy.

Lizbona, we wrześniu.

Tym razem widziałem w Lizbonie króla Don Carlosa: leży on w uniformie świątecznym z wieloma orderami w szklanej trumnie. Za płaciwszy odpowiednią sumę, moż na pogapić się poprzez szklane szyby na straszną, trupią twarz do brego, grubego króla, który został zamordowany. — W tym Panteonie przy kościele św. Antoniego znajduje się jeszcze wiele innych szklanych trumien królewskich. Skóra wszystkich tych królów wyschnięta jest jak stary pergamin i pokryta czarnymi plamami prześlakającego nazęwną tłuszczu trupięgo. — Jedną tylko Katarzynę Bregenzę leży w nieprzeziroczystej trumnie, na której uparci turyści składają swoje wizytowe karty. Wszystko to wyobraża t. zw. historję, t. j. zasuszonego życia.

Historja Portugalji jest bardzo bogata. — Taką mogłaby się stać historia każdego państwa, o ile jego sprawy źle się rozwijają.

Jest tu tylko historia, a angielski turysta mówi: „Jaka stara kultura!” Podczas tego biedni mieszkańcy stoją obok i proszą o pensy. Milrejsy nie mają bowiem żadnej wartości.

Historja jest czemś bardzo smutnym, o ile jest umieszczona w szklanych trumnach i pokazywana w ten sposób obcym turystom. — W nocy widziałem (nie, to nie było po winie) zmarłych królów portugalskich jadących przez „Proza do Commercio”, który anglicy nazywają placem czarnego konia, z powodu konia na pomniku rycerza. — Wierząc mi, że jest to najpiękniejszy plac na świecie. Leży on nad niebieskawo-złocistą rzeką, cały otoczony pałacami i arkadami. Jest to plac bez sklepów, trywialności i nienawiści; są tylko kamienie, bronz, światło, niebo i las masztów na świętej rzece. — Widziałem, jak przez ten właśnie plac jechał dobry, gruby król Don Carlos, w ciężkiej złocennej karocy, swego przodka Don Iva V. Ta karoca z czasów wczesnego rococo, z załotnie złocnymi ornamentami na dachu, przywozi do dziś dnia z dworca do „Palacio das Necessidades” po tentatów czasów obecnych: Oskara szwedzkiego i Emila Loubet’a, Edwarda angielskiego i jego siostrzeńca Wilhelma.

Widziałem tą karocę z poszóstym zaprzęgiem, przejeżdżającą obok pomnika Don Josego, przez plac w kierunku „Rua do Arsenal”, a za nią wiele innych poszóstych złoczonych karęt, w których siedzieli zmarli Bregenzowie o bladych, a znanych mi twarzach!

Widziałem we śnie: oto jedzie historia Portugalji, aż do „Rua do Arsenal”; padają strzały — i król Don Carlos i następca tronu Don Luiz...

Nie mógłbym śnić o tych świątecznych karocach, gdybym nie był ich widział w królewskiej stajni, która obecnie jest naturalnie muzeum narodowym. Przed muzeum stoi żołnierz republikański, w prawdziwej królewsko-pruskiej pikethaubie na głowie, — stoi na warcie i śni o najbliższej rewolucji w wojsku. Karoce są przecudne. Znajduje się tam jedna bardzo, bardzo stara, z początków 17-go wieku; zostawił ją w Portugalji u-zurpator Filip III, król hiszpański.

Karoca ta jest prawdziwym kołosem z drzewa i ze skóry, a pod wysięcianem siedzeniem ukrywa niezbędne w dłuższej podróży wygodę.

Jest tam przepyszny powóz pa-

trjarchy i arcybiskupa z czasów rococo, cały pokryty obrazkami nagich amorków i kobiet o bujnych kształtach. Widziałem tam powóz o wysokich kołach tylnych i niskich przednich, ofiarowany księżniczce Marii francuskiej — przez Ludwika XIV, którym ona przyjechała z ojczyzny do Portugalji. Portugalczycy potem naśladowali to wspaniałe, lakierowane pudło powozu, ale dodawali don zabawne ozdoby, bez których nie mogli się obejść.

Obok, dla odmiany, znajduje się maleńki, złoty powozik ze złotą koroną, na którym może podczas procesji wożono obraz Matki Boskiej, albo samą hostję: świętość promieniuje z pomiędzy czterech zachwycających, złotych słupków, a resory są tak bogate i piękne, że cieszą serce i oślepiają przepychem oczy.

Następnie stoi tam ciężka karoca węgierska, w której przybyła do Lizbony arcyksiężna Maria Anna, zaślubiwszy cesarza Józefa I. Dalej stoją trzy świąteczne powozy, w których przybyli do Rzymu w roku 1916 — wysłannicy tegoż cesarza, aby zawiadomić papieża Klemensa XI o narodzinach następcy tronu.

Te karoce, zbudowane zupełnie, jak wszystkie wozy tryumfalne, składają się całe z ozdobnych figur: alegorycznych bóstw i amorków, figury bóstw cnotliwych ozdabiają górne części wozów, a bożki występku, z nienormalnie wielkimi muskulami — umieszczone są głowami ku dołowi i jakby giną między kołami.

Jeden z bożków występku zgubił głowę, prawdopodobnie podczas fatalnej drogi z Rzymu do Lizbony, którą te powozy przebyły. Bóg wie, w jaki sposób. Gdy przechodzi osłupienie i zdumienie, spowodowane widokiem tych wszystkich karęt, pozostaje jedna myśl: „Boże, jak niewykłintne są te świętości historyczne!”

Te wielkie pudła szklane, umocowane na rzemieniach, na kołach bez gum, wewnątrz wprowadzone obszerne, wysięcane i ze słabymi śladami stołeczków pod nogi — ileż one wspaniałości wozy na spacer, przyprowadzając je o morską chorobę!

Myśl o pięknej infantce w obszernej krynolinie, wstępującej na śmiesznie wysokie stopnie powozu i siadającej na waziutkiem siedzeniu, obitem złotym brokatem, może doprowadzić człowieka do szaleństwa.

Jakiemż dobrodziejstwem są wozy „Międzynarodowego towarzystwa wagonów sypialnych” lub „Mitropy”. A ostatecznie turystyczne auto, bez upośledzonych cnot i koniecznych wygód.

Zamek królewski, do którego należą te wszystkie powozy, nazywał się i nazywa: „Palacio das Necessidades”. To znaczy: pałac potrzeb. Republikanin zaś myśli, że wszystkie te kosztowne, a niepraktyczne karoce byłyby monarchji należały do „pałacu potrzeb”, który jest niepotrzebny. Spójrzcie! Pałac ten oddawna jest zamknięty i zakratowany. Tylko niekiedy, podczas cudnych księżycowych nocy, wrota otwierają się cicho i na miasto wyjeżdża z Panteonu szereg karęt z dawno zmarłymi królami. Ten pochód duchów jest naturalnie niewidzialny, albowiem w te cudne noce Lizbona czuwa i przed kawiarniami muzyka gra: „Jes, I have no bananas!”

Arnold Höllriegel.

Rumuńskie przepisy dla handlu zagranicznego

Nowe rumuńskie przepisy, dotyczące handlu wywozowego i importowego stanowią:

1) Wywóz następujących towarów jest wzbroniony: wełna surowa i odpadki wełniane, len i konopie w każdej formie, za wyjątkiem tkanin lnianych, ozdobionych domowym haftem, surowe, zielone, solone i suszone skóry bydlęce, łącznie ze skórami cielęcymi i niestrzyżonymi owczymi i baraniami o ile wełna na nich dłuższa jest ponad 3 centymetry, skóry owcze i jagnięce.

2) Przywóz do Rumunii zakazany jest w stosunku do następujących towarów: tureckie, perskie i indyjskie, oraz inne wschodnie dywany wełniane, szale tureckie, wyroby z czystego jedwabiu, ubrania i konfekcja jedwabna, wełniana i bawełniana, garnitury futrzane, pióra, ręczne koronki i konfekcja ozdobiona koronkami, wstążki jedwabne, szelki jedwabne, szczy, gorsety jedwabne, hafty, obuwie lakierowe i ze skóry sarniej, itp.

CO DZIEŃ NIESIE?

WRZESIEŃ

10

Środa

Dziś: Mikołaja.
Jutro: Prota i Jacka.
Wschód słońca o g. 5.01
Zachód słońca o g. 6.04
Wschód księżyca o g. 4.46 pp
Zachód księżyca o g. 2.57 w.
Dług dnia 15 g. 19 m.
Ubyło dnia 5 g. 08 m.

Biblioteka Publiczna. ul. Andrzeja 14. Otwarta w dni powszednie od godz. 3 — 9 wiecz.

Miejska galerja sztuki, park im. Sienkiewicza (wystawa malarstwa, rzeźby, grafiki i zdobnictwa polskiego), otwarta od 10 r. do 8 w.

Czytelnia „Tow. przyjaciół Francji”, ul. Piotrkowska 103, otwarta codziennie z wyjątkiem piątków od 6—8 wiecz.

Dzisiejsze widowiska:

„Teatr Miejski”:
„Śluby panienskie” (Premjera)

„Casino”:
„Słynny proces bankiera Laropue’a”

„Odeon”
„Tajemnica klubu Savoy”.

„Luna”:
„Żona, której nie zna własny mąż”.

„Grand-Kino”:
„Tajemnicze małżeństwo”.

Kino współdz. pracown. państwowych:
„Precz z Mężczyznami”.

„Nowości”:
„Człowiek czynu”.

Osobiste.

(1) Sędzia łódzkiego sądu okręgowego, Władysław Rudnicki, otrzymał nominację na wice-prezesa sądu okręgowego w Mławie.

Komendant okręgowy p. p. inspektor L. Wróblewski wyjeżdża w dniu dzisiejszym w sprawach służbowych do Warszawy, poczem bezpośrednio odbędzie wizytację powiatowych placówek policyjnych. Do Łodzi wraca w dniu 14 b. m.

Dr. M. Kłuszyński, naczelny lekarz kasy chorych, powrócił z urlopu wypoczynkowego i w dniu dzisiejszym objął urzędowanie.

Kryminalistyka i wypadki.

Przy pracy.

(34) W fabryce tow. akc. L. Geyer mieszczącej się przy ul. Piotrkowskiej 295, między niezadowolonymi robotnikami: Maciejewski Wawrzyniec (szarpane rany prawej dłoni), Kepa Kazimierz (zerwaniem paznokci na trzech palcach prawej ręki), Drewniak Anna (zgniecenie palców lewej ręki) i Kozak Marja (uszkodzenia prawej ręki).

Kochająca córka.

(34) Zamieszkała przy ul. Szkolnej pod nr. 5 Dymitruk Anna zawiadomiła 4 komisariat policji, że córka jej Wileńska Felcja wykradła z mieszkania biżuterję i monety złote na ogólną sumę 4.000 złotych i zbiegła w niewiadomym kierunku.

Kradzieże.

— Openheim Izak zawiadomił komisariat policji, że w dniu dzisiejszym skradziono mu z pokoju kąpielowego dwa płaszcze kąpielowe.

Sprawca kradzieży nieznany.

— Zygfrydowi Adamowi, zamieszkałemu przy ul. Engla, skradziono przez wybiecie szyby w mieszkaniu bieliznę.

O kradzież podejrzewa Marjana Borysiaka (Engla nr. 7).

Falszywe pięciozłotówki.

(34) Najchtaus Szymon, zamieszkały przy ul. Nowomiejskiej nr. 32, kupując na poczeki znaczki pocztowe, usiłował pukać w obieg fałszywą pięciozłotówkę.

Po inauguracji sezonu

w teatrze miejskim.

Dyr. Wroczyński i p. Konstanty Tatarkiewicz o przyszłych swych pracach.

Z okazji inauguracji sezonu teatralnego, który w roku bieżącym zapowiada się bardzo dobrze, ze względu na zespół i ustalony plan pracy, uważaliśmy za stosowne zwrócić się w czasie wczorajszej premjery „Ślubów panienskich” do reżyserów: dyr. Wroczyńskiego i p. Konstantego Tatarkiewicza, z prośbą o udzielenie kilku informacji.

DYR. WROCZYŃSKI

o zamiarach swych reżyserskich wyraża się powściągliwie, zwracając główną swą uwagę na pracę ogólną w teatrze, który wymaga jeszcze troskliwej opieki, aby mógł rzeczywiście stanąć mocno na nogach. Reżyseruje wkrótce „Kłopoty genjusza”, świetną komedię Beneta, do spółki z panem Waldenem, wybitnie uzdolnionym adeptem szkoły dramatycznej Zelwerowicza. Uwagę swą skoncentruje na pracy kulturalnej i nad postawieniem teatru na jaknajwyższym poziomie. W tym celu, dla uprzywilejowania przedstawień teatralnych jaknajszerszym masom, dawaną będzie tak, jak w roku ubiegłym przedstawił dla zrzeczeń, robotni, przedstawienia popołudniowe dla dzieci w soboty. Prócz tego realizuje bezwzględnie w tym roku koncepcję poranków literackich, które w sezonie ubiegłym do skutku doprowadzić nie mógł. Posiadam bowiem wśród swego zespołu kilku wybitnych literatów, np.: p. Nowakowski, autor „Tajemniczego Pana”, p. Majen, referent literacki oraz kilku teatrologów, jak np.: p. Radwiłowicz i p. Walden. To też prelekcje ich będą napewno się cieszyły powodzeniem, a recytowane utwory danego autora złożą się na ciekawą całość wspomnianych poranków. Prócz tego postanowiłem urządzić w zimie cały szereg przedstawień dla dzieci, na które mam już wybrane sztuki, przeważnie przeróbki z bogatej literatury amerykańskiej i angielskiej w specjalnej inscenizacji. Nie chcąc panu powtarzać szczegółów repertuaru, który zresztą pan już zna na pamięć, muszę raz jeszcze podkreślić, że posiadam bardzo dobry zespół, złożony z młodych przeważnie i uzdolnionych aktorów, co umożliwi mi wykorzystanie tych sił dla roz-

woju teatru. To też w stosunku do rezultatów tego sezonu odnoszę się całkiem optymistycznie i bez obawy. Współpraca z publicznością i prasa umożliwi mi zrealizowanie moich planów.

KONSTANTY TATARKIEWICZ

znany Łodzi ze swej pracy za dyrekcji Zelwerowicza przed kilkoma laty, gdy teatr łódzki błyszczał świetnymi nazwiskami Junoszy-Stępowskiego, Grabowskiego, Mieleskiego i samego Zelwerowicza — również zapałuję się całkiem różowo na przyszłość teatru w Łodzi.

Pierwsza sztuka, jaką reżyseruje w Łodzi, będzie „Josziwaza” Bachwitz, sztuka sensacyjna, b. pikantna, oparta na problemie zmysłów. Uważam oświadczać dalej p. Tatarkiewicz, że Łódź od czasu mego pobytu zmieniła się bardzo. Niema dzisiaj tej łączności między artystami i literatami w Łodzi, niema tego współzycia, które się ogniśkowało u Roszkowskiego, nie jestem zwolennikiem „popularyzacji, aktora, niekoniecznie musi on być na herbatach, i przyjęciach u swych wielbicieli, ale bezwzględnie musi on współżyć ze swymi kolegami, jak również z literatami.

Ale ci ostatni rozproszyli się gdzieś i dzisiaj niema już tego zeszkowania, niema tej atmosfery w której pracowało się kiedyś. Jeżeli chodzi o mnie, to propozycję dyrekcji teatru łódzkiego przyjąłem chętnie, ze względu na osobę dyrektora Wroczyńskiego, z którym można pracować bardzo dobrze, oraz i ze względu na zespół, który posiada wiele zalet. Teatr łódzki jest jedynym bodaj teatrem, który posiada swój plan pracy i repertuar, którego nie kłeci się na poczekaniu, od wypadku do wypadku. Na inaugurację sezonu zimowego teatr mój daje „Lilę Wenedę”, której sceniczne opracowanie zostało mi powierzone. O ile dodam jeszcze, że bajeczną wprost oprawę szykuje Drabik z teatrów szymonowskich, wówczas wysiłki nasze patrzą pan zapewne ocenić.

M. K.

Dalsze popisy monopolu tytoniowego.

Gospodarka monopolu tytoniowego zawsze była skandaliczna, ale to, co dzieje się dzisiaj, jest już czemś więcej niż skandalem, to już nosi cechy współdziałania świadomego z paskarskimi i spekulacyjnymi elementami na rynku, cechy działania na szkodę konsumenta, którego wszak do dziś jeszcze nie przestały chronić przepisy ustawowe.

Dyrekcja monopolu tytoniowego przystępując do unieruchamiania fabryk prywatnych, ogłosiła uroczystie, że zapewniła sobie uprzednio kilkumiesięczny zapas wyrobów tych fabryk, zwłaszcza tych, które cieszyły się najlepszym popytem na rynku, i które po pewnym czasie i po zorganizowaniu ze swego ramienia w własnym zakresie na nowo zaczęły produkować.

Tymczasem w tydzień po zamknięciu fabryki Noblesse w Warszawie i Szereszewskiego w Grodnie, ani jednego pudełka papierosów z tych fabryk w handlu nie było. Albo więc statystyci monopolu tytoniowego takie mają pojęcie o zapotrzebowaniu rynku, jak przeciętny pałac monopolowej machorki o teorii Einsteina i w tym wypadku winni czempredziej dostać kolaniem w najpobojniejszą część ciała i pójść na bezrobotnych, albo też dyrekcja monopolu nie umie zorganizować sprzedaży i utrzymać w karchach koncesjonowanych przez siebie hurtowników i detalistów, a wtedy to samo co powyżej winno być jak najrychlej zastosowane do bajecznie prezentującego się w inspirowanych wywiadach i artyku-

łach dziennikarskich pana naczelnego dyrektora monopolu, który pozwala sobie szykanować współzycie z paskarskim nasieniem hurtowników i detalistów tytoniowych kilka milionów palaczy w państwie.

Gospodarka monopolu tytoniowego ostatnio objawia wcale niedwuznaczne cechy kompletnego bankructwa i działania nietylko na szkodę obywateli Rzeczypospolitej, ale i na szkodę skarbu państwa.

Bowiem oprócz kompletnego braku papierosów fabryk prywatnych, możliwych do palenia, niema ostatnio na rynku nawet papierosów monopolowych lepszych gatunków. Od kilku dni w żadnym z łódzkich składów tytoniowych nie znajdzie się np. papierosów gatunku „Sfinks”, „Kairo” i t. p., mimo, że papierosy te są wyrabiane w będących w ruchu fabrykach monopolowych, i jak twierdzą w dyrekcji monopolowej produkcja tych papierosów jest tak zorganizowana, że bez najmniejszej trudności można zaspokoić największe nawet zapotrzebowanie.

Jeżeli więc i takich gatunków monopol tytoniowy nie jest w stanie utrzymać w sprzedaży jawnej, to zakrawa to już na oczywiście popieranie paska i wyzysku, uprawianych przez koncesjonariuszy monopolu tytoniowego, i na ukrócanie dochodów skarbowych przez ograniczanie sprzedaży produktu fabryk rządowych, z których całkowity zysk pynie do kas państwowych.

Perypetje gotówkowe magistratu.

Gdy chodzi o gotówkę nawet umowa z teatrem nie obowiązuje.

Gdy w roku ubiegłym dyr. Wroczyński przystępował do reorganizacji teatru, aby po roku mozolnej pracy osiągnąć cel swych zamierzeń — postawienie teatru w Łodzi na należytym poziomie, magistrat łódzki, który rozpoczynał dopiero swą twórczą i owocną pracę, nie szczędził kierownictwu teatru gorzkich pigulek i kłód, rzucanych pod nogi.

Homeryckie zapasy magistratu o podatek teatralny, o repertuar, o cały szereg drobiazgów, o których wyrokować chciał areopag magistrackich fachowców — przeszły już do historii kultury Łodzi. Pomimo tej działalności kulturalnej magistratu, który stał na stanowisku, że teatr musi przynosić dochody, tak jak inne źródła, dajmy na to rzeźnia miejska, albo opłaty od wózków, pomimo szyskan i utrudnień, teatr wytrwał i trwać będzie zapewne już długo.

Faktem jest bowiem, że teatr został postawiony na bardzo wysokim poziomie, że jedyny bodaj poza teatrem krakowskim posiada do kładny plan pracy na przyszły sezon.

Zdawaćby się więc mogło, że władze miejskie w roku bieżącym

całkowicie poddadzą rewizji swój stosunek do teatru i zamiast nieufności i niechęci, darzyć go będą zaufaniem i poparciem. Zaraz u progu sezonu jednak, magistrat w osobie ławnika wydziału podatkowego uważał za stosowne uczynić krok, który podkreśla nasze obawy i przypuszczenia.

W związku z rozpoczynającym się sezonem, dyrekcja teatru zwróciła się o wypłacenie subsydium, w tydzień po pierwszym. W odpowiedzi jednak magistrat, tłumacząc się brakiem pieniędzy, życzeniu temu słusznemu nie uczynił zadość. Zgodzono się natomiast na to, że teatr, należne magistratowi kwoty podatkowe, wpłaci przy pomocy kwitów, na subsydium. Zrozumiała jest jednak rzecz, że gdy przyszło dopłacenia, magistrat kwitu tego nie przyjął, żądając gotówki, sam jednak gotówki teatrowi nie uważał za stosowne wypłacić. Za ten upominek, złożony dyrekcji teatru przez władze miejskie, w chwili rozpoczęcia intensywnej pracy na tej placówce kulturalnej, należy się włodarzom miasta szczere podziękowanie.

— M —

Czy magistrat zawali się, czy nie?

Do zawalenia się niewiele brakuje, ale prawdopodobnie stać będzie na utrapienie łódzian.

Pojawiające się od czasu do czasu „sprostowania” i wzmianki referatu prasowego magistratu nigdy nie były nacechowane zbytym obiektywizmem, ostatnio jednakże jego działalność jest wykładnikiem metod panujących w magistracie. Twierdzenie nasze najwymowniej poprzeć można historią rozbudowy gmachu magistratu przy placu Wolności.

Otóż według informacji jednej z agencji reporterskich magistrat miał nadbudować jedno tylko piętro. To też gdy rozpoczęto nadbudowę i drugiego jeszcze piętra, cała budowla zarysowała się, w murach potworzyły się szczyrby, które copędzej trzeba było podpieścić i latać. Z tego też powodu uległo opóźnieniu przeniesienie biur magistratu do przybudówki.

W sprawie tej, rzecz oczywista, uważała za stosowne zabrać głos prasa łódzka, stwierdzając, że niedopuszczalne jest tego rodzaju postępowanie władz municypalnych.

— k —

Życie i sąd.

Gola skazany na 6 lat więzienia.

(34) Sąd wojskowy okręgu IV pod przewodnictwem majora Grylewskiego, przy asyście por. Cara Władysława, por. Cypryka Stanisława i sekretarza sierżanta Lubowieckiego Edmunda, rozpatrywał w dniu wczorajszym sprawę szeregowca 31 p. Strzelców Kan., Stanisława Goli.

Akt oskarżenia, który podaliśmy we wczorajszym numerze „Głosu Polskiego” zarzuca oskarżonemu szereg kradzieży, dezerację z wojska i dwukrotną ucieczkę z więzienia śledczego.

Pierwszy zeznawał świadek Pankowski Władysław, który w całości potwierdził dane protokołu policyjnego posterunkowego Rzeszowskiego i dodał, że w dniu 30 września 23 r. szedł z Kaźmierczakiem szosą Pabjanicką około godz. 6 wiecz. i nagle zaalarmowany został krzykiem „trzymaj złodzieja!” W tym momencie przebieg koło nich nieznanym im osobnik, a za nim posterunkowy z zakrwawionym policzkiem. Posterunkowy zatrzymał się przy świadkach i dopytując się o kierunek, w którym uciekł złoczyńca, powiedział, że został przez tegoż osobnika pokuty nożem w chwili schwytania opryska na gorącym uczynku wykradania towaru z wozu firmy Majster.

Następni świadkowie nie cieka-

wego do sprawy nie wnieśli, potwierdzając jedynie zeznania świadków poprzednich.

Jedynie nieco wesołości wniosła na salę Kużyńska Irena, lat 19, która podawała się za „artystkę”, co jednak świadkowie następnie sprostowali, stwierdzając, że jest jedynie robotnicą firmy Szejblera i Grohmana. Po tak nieoczekiwanym poderwaniu presteżu panna Irena przyznała się, że jej rzeczywistym fachim jest praca w fabryce, lecz „artystką” jest także, gdyż ojciec jej jest „dyrektorem trupy” artystycznej, która wędruje po Polsce (śmiech na sali).

Po przemówieniu prokuratora, majora Kowalewskiego i mecenas Kneppela, sąd udał się na naradę.

WYROK.

W myśl artykułu 587 cz. I K. K. W., przy zastosowaniu art. 19 R. M. z dnia 10 maja 20 roku, sąd skazał po naradzie szeregowca 31 p. S. K., Stanisława Gola na 6 lat więzienia, pozbawienie praw i przeniesienie do drugiej klasy żołnierzy. Z kary tej na zasadzie amnestji sąd ujął dwa miesiące.

Oskarżony Stanisław Gola wyroku nie przyjął i wniósł zażalenie nieważności do najwyższego sądu wojskowego w Warszawie.

W ZDROWYM CIELE ZDROWY DUCH.

Na marginesie wojskowych igrzysk sportowych.

Na boisku D. O. K. IV, trzy dni, od soboty do poniedziałku, trwały na szeroka skalę zakrojone i doskonale zorganizowane zawody lekkoatletyczne i piłkarskie wojskowych.

Widok tylu zdrowych ludzi, pochodzących z różnych sfer i środowisk, z miasta i ze wsi, nasunął nam kilka uwag o wzajemnym stosunku sportu i wojska.

Pewien poziom kultury fizycznej osiąga jednostka drogą ćwiczeń bądź sportowych, bądź gimnastycznych. Gimnastyka, za dawnych dobrych czasów o wiele intensywniej niż dziś uprawiana, miała w swym duchu coś niecoś z militarystyki. Karność — konieczna do ładnego, dobrego wykonania ćwiczeń grupowych; do pokonania trudności, które tylko rozkaz nauczyciela — kierownika, wobec niewystępującego tutaj pierwiastka ambicji, mógł przełamać, wreszcie cały szereg ćwiczeń, t. zw. mustra — to momenty, dla których gimnastykę pomyślano słusznie niekiedy o militarystykę.

Zresztą pojawienie się strzelców, przedewszystkiem harcerzy, sokołów i t. d. w mniejszym stopniu — przypieczętowało ten pogląd społeczeństwa na gimnastykę. Było w tem sporo słuszności. Przypnijmy sobie dziś sami otwarcie, że dawne, za zaborczych czasów lekcje gimnastyki, to jedne chwile w życiu ucznia, ucznia polskiej szkoły, w których uprzytomniał sobie, że to, czego dziś się uczy, może kiedyś w walce o Polskę mu się przydać. Na tych lekcjach jedynie pachniało odrobinę konspiracją i słowem „niepodległość”.

Nie wdajemy się tutaj w porównanie i ocenę wzajemną dwóch odwiecznych wrogów — prawicy i lewicy w wielkim społeczeństwie ćwiczeń fizycznych: gimnastyki i sportu; jest to praca, która doprowadziła nas za daleko; naszym zdaniem każdy sportowiec jest gimnastykiem pod względem dbałości o swe mięśnie; każdy zaś gimnastyk jest trochę sportow-

cem, przynajmniej pod względem ambicji i dążności do coraz trudniejszych ćwiczeń. Jest to najlepsza platforma porozumienia tych poważionych braci; dawne, ostre antagonizmy w Niemczech na tej drodze zostały usunięte.

Bezpieczna, pokojowa praca nad kształtowaniem naszego wojska przypada na okres najwyższego rozwoju sportu. Początkowo wychowawcy fizyczni naszego wojska zdradzali pewne inklinacje ku gimnastyce. Przez wszystkie szczeble drabiny hierarchii wojskowej przechodząc, zjawiała się wreszcie 3 — 4 lata temu w ręku podoficera kartka — wyciąg z rozkazu — o ćwiczeniach fizycznych: była to urozmaicona gimnastyka: zabawy gimnastyczne. Czy dziś jeszcze taka kartka w rękach dowódcy drużyny się znajduje — śmiemy wątpić: przeczą temu zawody sportowe, któreśmy oglądali.

Zawody te wykazały bez najmniejszych zastrzeżeń, że wojskowość nasza jako kierunek wychowania fizycznego żołnierzy obrała drogę nowożytną i niemilitarną: sport.

Widzieliśmy wczoraj obok oficerów o twarzach inteligentów — zwyczajne twarze z ludu. Widzieliśmy szczupłych, wysmukłych o elastycznych mięśniach wychowawców miast i kominów, a obok nich krępych, ciężkich i powolnych — chłopów z pól i lasów. Jednoczyli ich wszystkich sport, walka o pierwszeństwo przede wszystkim; dla niektórych, więcej świadomych, było to pole kontroli postępów w dziedzinie kultury fizycznej.

Chłop z zapadłej głuchej wsi, co o świecie bożym nie wiedział, poznaje w wojsku dobrodziejstwa sportu. A jeśli mu jego kierownicy wychowania fizycznego potrafią przeszczepić trochę nerwu sportowego, to kraj cały, gdzieś aż po odległy od drogi żelaznej zapadły zakątek, uzyskał nowego rzeźkiego, zdrowego człowieka i ma zapewnione zdrowie, rzeźkie i mocne pokolenie.

To jest wielka zasługa wojska, zasługa sportu w wojsku i jego dobrodziejstwem. Gimnastyka nie bierze. A sport chwytą i trzymają całe życie. Bez różnicy płci, narodowości, wyznania, klasy i kasty.

Ze tak jest, o tem przekonaliśmy się wczoraj. Żołnierze obok nas siedzący, czystym językiem ludowym zamieniali ze sobą fachowe uwagi o tem, co widzieli. Świadomi byli wysokości, odległości i t. d. najzupełniej.

Chcemy przyklasnąć jaknajwyżej tej dziedzinie pracy władz wojskowych.

Jest to praca dla dobra narodu; dla dobra ludzkości całej. Nie jest to praca militarystyczna: przeciwnie jest ona nawskroś pokojowa. Przyswieca jej bowiem zasada nagrody w postaci wyczynu za tudy i wytrwałość. Przysposobienie wojskowe, które wyższym władzom wojskowym w uimowaniu sportu przyswieca — przychodzi o czwista samo przez się.

Wreszcie dla wojskowych będzie to paradoksem, lecz dla nas, prawdziwych sportowców, jest prawdą oczywistą: przez sport w wojsku dąży sami wojskowi pośrednio, w ideale teoretycznym, do zniesienia wojska. Gdyby wszyscy ludzie byli sportowcami w idealnym pojęciu tego wyrazu — nie byłoby wojen.

Idąc po linii wspianego rozwoju sportu, jaki w naszej armii, względnie w naszym D. O. K. mamy, bez względu na wyczyn, do zapamiętania — władze wojskowe powinny pomyśleć o utworzeniu szkoły wychowania fizycznego na wzór istniejącej takiej szkoły wojskowej francuskiej w Joinville. Załączki takiej szkoły, raczej dokumenty o jej racji bytu mamy w postaci poznańskiej szkoły gimnastycznej i wychowania fizycznego. Jest to pierwszy krok na tej drodze.

Czekamy na dalsze, a władzom wojskowym, z gen. Jungiem i Małachowskim na czele, i sportowcom wojskowym życzymy w ich pięknej pracy jaknajlepszych wyników.

Zawody lekkoatletyczne o mistrzostwo Polski.

Doroczny turniej przyniósł trzy rekordy.

Trzydniowe zawody lekkoatletyczne o mistrzostwo Polski nie spełniły nadziei, jakie ogół sportowców żywił z powodu pobytu

naszych gwiazd lekkoatletycznych w Paryżu na olimpiadzie i doświadczenia, jakie tam zyskali. Wielu zawodników nie osiągnęło nawet swej zwykłej formy, na przykład Ziffer, wielu zaś widocznie nie czując się na siłach, nie stanęło wcale do swych specjalności.

Panie spisały się lepiej, a w szczególności łodziński (Ł. K. S.), które wywarły jaknajlepsze wrażenie wśród bardzo licznie zebranej publiczności.

Z najważniejszych rezultatów osiągnięto następujące:

PANIE.

Rzut kulą:

Konopacka (A. Z. S.) 787 cm.

Bieg 83 m. z płotkami.

Schmidowna II (Pol.) 16.1 sek.

Skok w wyż.

Toborowiczówna (Sokół) 131 m. (rekord Polski).

Bieg 100 metr.

1) Kwaśniewska (War.) 14.9 s.
2) Gilówna (Sokół) o 2 metr. w tyle.

Bieg rozstawni.

Sztafeta 4 razy 60. sztafeta Polonii I 36.6 sek., Polonia II o 5 metr. w tyle, dalej Makkabi (Kraków).

Bieg 250 metr.

1) Kwaśniewska (War.) 39.8 s.
2) Nowacka (Ł. K. S.) o jeden metr w tyle.

Bieg 4 razy 100 metr.

1) Polonia I — 61.3 sek.
2) Polonia II o 10 metr. w tyle.
3) Makkabi (Kraków).

Bieg 60 metr.

1) Witkowska (Sokół) 8.4 sek.
2) Nowacka (Ł. K. S.) o pierś w tyle.

Skok w dal.

1) Czajkowska (Sokół) 429 cm.
2) Witkowska (Sokół) 417 cm.
3) Nejtwichówna (Ł. K. S.) — 398 cm.

Rzut oszczepem.

Wojnarowska (A. Z. S.) 25 metr. (rekord Polski).

Rzut dyskiem.
1) Konopacka (A. Z. S.) 2349 cm. (rekord Polski).

PANOWIE.

Bieg 800 metr.

Jaworski 2.04,8.

Bieg 10,000 metr.

Ziffer (Wista) 39,1 sek.

Trójskok.

1) Cejzik (Pol.) 1265 cm.
2) Rykowski (Pol.) 1188 cm.

Rzut kulą.

1) Cejzik 1161 cm.
2) Nowojczyk 1106 cm.

Skok w wyż.

1) Cejzik (Pol.) 171 i pół cm.
2) Grunen 166 i pół cm.

Bieg 100 metr.

1) Szenajch (A. Z. S.) 11,2 sek.
2) Weiss (A. Z. S.) o metr w tyle.
3) Piątkowski (Pol.) o trzy metry w tyle.

Rzut dyskiem.

1) Szydłowski (A. Z. S.) — 37,85 cm.
2) Cejzik 36,58 cm.

Bieg 3,000 metr.

1) Jaworski 9.23,8 sek.
2) Kostrzewski (A. Z. S.) o 8 metr. w tyle.

skok w dal.

Florkiewicz 588 cm.

Bieg 400 metr.

Weiss (A. Z. S.) 53 sek.
Bieg 110 metr. z płotkami.
Cejzik 18,2 sek.

Bieg 5,000 metr.

Łukasiewicz (A. Z. S.) 16,43 s.

Bieg 1,500 metr.

1) Jaworski 4,19,1 sek.
2) Kostrzewski I o 40 metr. w tyle.

Sztafeta 4 razy 100.

1) A. Z. S. 47 sek.
2) Polonia 49 sek.

Chód 2,000 metr.

1) Zajackowski (Orkan) 10,7 sek.
2) Suchecki (A. Z. S.) 11,01 sek.

Skok o tyczce.

Adamczyk 327 cm.

Bieg rozstawni 4 razy 400 metr.
A. Z. S. 37,4 sek. (rekord Polski).

JACK LONDON.

Schwytyany.

Przybyłem do miasteczka Niagara w wagonie „pulmanowskim z bocznymi drzwiami”, czyli, jak mówi się w mieszczkańskim dalekie, w zamkniętym towarowym wagonie. Przyjechałem po południu i wprost z towarowego pociągu udałem się do wodospadu. Gdy tylko moje oczy ujrzały ten cud natury, byłem zgubiony. Długo nie mogłem się stamtąd wyrwać, aby udać się do tamtejszych mieszkańców i wybrać kolację. Nawet wzgląd na to, że mogę zostać zaproszony, nie mógłby mnie odciągnąć.

Noc zapadła, a ja siedziałem przy wodospadzie do godziny jedenastej. Trzeba było jednak wyszukać sobie na noc jakieś legowisko.

Wiedziałem, że miasteczko Niagara jest nieprzyjawnie usposobione względem włóczęgów, i dlatego wolałem pozostać na świeżym powietrzu. Przesadziłem jakiś płot i położyłem się w polu. Pochlebiam sobie, że policja mnie tutaj nie znajdzie. Leżałem na plecach w trawie i spałem, jak dziecko. Powietrze było tak łagodne i balsamiczne, że się ani razu nie przebudziłem. Gdy zaczęło świtać, otworzyłem oczy i przypomniałem sobie cudowny wodospad. Przesadziłem znów płot, i udałem się w stronę wodospadu, aby go jeszcze raz ujrzeć. Było bardzo wcześnie — przypuszczalnie około 5-tej godziny — a przed 8-mą nie mogłem zacząć zarabiać na śniadanie. Mo-

głem ze trzy godziny przepędzić przy rzece. Lecz niestety! Los chciał abym już nigdy nie ujrzał ani rzeki, ani wodospadu.

Miasto jeszcze spało. Szedłem cichymi ulicami w dół, gdy wtem ujrzałem trzech mężczyzn, idących troturem, naprzeciw mnie. Szli oni jeden przy drugim. Włóczędzy, jak i ja, pomyślałem, tak samo wcześniej wstali. Przypuszczenie moje nie spawdziło się, a raczej sprawdziło się tylko w dwóch trzecich. Ludzie po obu bokach byli bezwzględnie włóczęgami, ale człowiek po środku nie miał z naszym fachim nic wspólnego. Przytuliłem się do ściany domu, aby ich przepuścić. Lecz oni nie przechodzili. Człowiek, idący pośrodku, powiedział coś do dwóch pozostałych, poczem wszyscy zatrzymali się, a on zwrócił się ku mnie. W tej samej chwili wyczułem, skąd wiatr wieje. Był to policjant, a ci dwaj włóczędzy byli jego więźniami. Policja wyruszyła na ranny północ. Byłem również rannym ptaszkiem. Gdybym mógł przewidzieć, co mnie spotka podczas najbliższego miesiąca, uciekłbym, jak goniony przez diabła. Policjant strzelałby może do mnie, ale musiałby mnie zranić, aby mnie złapać. Nie byłby za mną biegł, wszak dwaj włóczędzy w ręku są więcej wari, niż jeden uciekający. Wówczas jednak, gdy mnie zatrzymał, stałem jak bałwan. Rozmowa nasza trwała krótko.

— W jakim hotelu pan się zatrzymał? — zapytał on.

Już mnie złapał. Wogóle w hotelu się nie zatrzymałem, a ponieważ nie znałem ani jednej nazwy hotelu w tem mieście, nie mogłem rościć sobie pretensji do mieszkania w jednym z nich. Wsta-

łem również o wiele wcześniej. Wszystko się przeciwko mnie spryszygło.

— Dopiero co przyjechałem — rzekłem.

— Dobrze, niech się więc pan odwróci i idzie przedemną, tylko nie za szybko. Ktoś chce z panem mówić.

Byłem schwytyany. Wiedziałem dobrze, kto chce ze mną mówić. Mając za sobą policjanta i dwóch włóczęgów, doszedłem aż do więzienia. Odwieziono nas tam i nasze nazwiska zostały zapisane. Zupełnie zapomniałem pod jakim nazwiskiem zostałem zarejestrowany.

Podaliśmy nazwisko Jack Drocke, a przy rewizji znaleziono listy, adresowane do Jack'a London'a. To naturalnie powiększyło trudności i wymagało nowych wyjaśnień. O tem wszystkim dawno zapomniałem, i do dziś jeszcze nie wiem, czy zostałem schwytyany, ja ko Jack Drocke, czy jako Jack London. Lecz jedno z tych dwóch nazwisk do dziś znajduje się w skorowidzu więziennym miasta Niagara. Z łatwością można się o tem przekonać. Było to w końcu czerwca roku 1894. Kilka dni po moim aresztowaniu wybuchł wielki strajk kolei żelaznych. Wprost z urzędu zaprowadzono nas do „lochu włóczęgów”, i tam zamknęto. „Loch włóczęgów” jest częścią więzienia, w której lżejsi przestępcy zostają zamknięci w żelaznej klatce. Ponieważ włóczędzy stanowią lwia część lekkich przestępców, nazwano ich imieniem tą żelazną klatką. Tu zostaliśmy już paru włóczęgów, których również tego samego rana złapano. Co chwila otwierały się drzwi i przybywało po dwóch,

trzech świeżo wytopionych. W końcu zebrało się 16 ludzi; zostaliśmy zawołani na salę sądową. Opowiem dokładnie o wszystkim, co miało miejsce w tej sali, albowiem tam moja miłość ojczyzny i duma obywatela otrzymała cios, którego do dziś nie mogę przeboleć. W sali sądowej znajdowało się szesnastu złapanych włóczęgów, sędzia i dwaj woźni sądowi. Sędzia był jednocześnie swoim własnym pisarzem. Świadków nie było. Nie było tam ani jednego obywatela miasteczka Niagara, któryby mógł zobaczyć, jak wymierza się sprawiedliwość w jego gminie. Sędzia obejrzał leżący przed nim spis „przestępców” i wywołał jednego z nas. Jakiego włóczęgę wstał. Sędzia spojrział na woźnego.

— Włóczęgostwo, wasza wysokość — powiedział woźny.

— Jeden miesiąc — odpowiedział jego wysokość.

Włóczęga usiadł. Sędzia zaś wywołał następnego nazwiska, i następny włóczęga wstał.

Przesłuchanie pierwszego włóczęgi trwało równo 15 sekund.

Z drugim — załatwił się sędzia z tą samą szybkością.

Woźny sądowy znów rzekł: — Włóczęgostwo, wasza wysokość!

— a jego wysokość odpowiedział: — Jeden miesiąc.

Wszystko szło sprawnie, jak na zegarku: piętnaście sekund — jeden włóczęga i jeden miesiąc.

Głupie było, myślałem w duchu. — Lecz gdy na mnie przyszedł kolej, ja już waszej wysokości odpowiedziałem. Podczas dalszego przebiegu sprawy, jego wysokość pozwolił nagle jednemu z nas przyjąć do słowa. — Ten właśnie człowiek przypadkowo nie był

prawdziwym włóczęgą. Nie posiadał on, ani jednej cechy prawdziwego obywatela. Gdy podszedł do nas, podczas gdy siedzieliśmy w rezerwuarze, czekając na towarowy pociąg, poznaliśmy w nim odrazu obcego. Nie był już młody — według mego zdania mógł mieć 45 lat. Plecy miał pochylone, a rysy twarzy — niewyraźne.

Zawodu był furmanem; przez wiele lat zajmował stanowisko woźnicy w dużej firmie w New Jorku. — Interes ten z czasem podupadł, szło mu coraz gorzej, aż w najgorszych czasach — w 1893 roku firma ta została zupełnie zrujnowana. Odszedł z tego przedsięwzięcia prawie ostatni, chociaż już oddawna mało miał tam pracy. Opowiadał długo i szeroko, jakie wielkie trudności napotkał przy poszukiwaniu pracy (jest tytuł bezrobotnych). W końcu przyszedł do wniosku, że może łatwiej znajdzie pracę nad morzem, i właśnie teraz jest w drodze do Buffalo. — To było wszystko.

— Jeden miesiąc — powiedziała jego wysokość i wywołała następnego nazwiska.

Wywołany włóczęga podniósł się: — Włóczęgostwo, wasza wysokość — rzekł woźny, a jego wysokość odpowiedział: — Jeden miesiąc.

I znów wszystko szło zwykłym trybem: 15 sekund — jeden miesiąc dla każdego włóczęgi. Maszyna pracowała szybko i sprawnie. Prawdopodobnie było przecie tak wcześniej — jego wysokość nie jadł jeszcze śniadania.

(Dokończenie nastąpi)

(Tłumaczyła Dw.)